

GUY DE MAUPASSANT.

RĘKA.

Nowela.

Otoczono zwartem kołem sędziego śledczego pana Bermutier, który opowiadał o tajemniczej aferze z Saint-Cloud. O miesiąc temu ta niepojęta zbrodnia zajmowała cały Paryż. Nie było człowieka, któryby choć trochę w niej się orjentował. Pan Bermutier, stojąc oparty o komin, mówił... przedstawiał rozmaite domysły, rozstrząsał rozmaite zdania, sam od siebie nic nie dodając.

Niektóre z pań wstały, by się rzucić i słuchały, nie spuszczać oka z wygolonych ust urzędnika, z których wychodziły słowa pełne grozy. Dygotały, drżały na całym ciele, dręczone ciekawością, niepohamowaną żądzą, potrzebą strasznych wizji, któreby nawedzały ich wyobraźnię, któreby szarpały ich nerwy.

Jedna z nich, bardziej blada niż inne, powiedziała, gdy zaległo milczenie:

— To okropne, to zakrawa na coś „nadprzyrodzonego”. Nikt tej zagadki nigdy nie rozwiąże.

Sędzia obrócił się ku niej:

— Tak, proszę pani, możliwym jest, że nikt tutaj nie uchyli zasłony. Co zaś do słowa „nadprzyrodzonego”, którego pani użyła, to sądzę, że ono jest tutaj całkiem nie na miejscu. Jesteśmy w obliczu zbrodni, naprawdę bardzo zręcznie wykonanej i tak okrytej tajemnicą, że nie możemy jej uwolnić od okoliczności niezrozumiałych, które zaciemniają sprawę. Co do mnie, śledziłem niegdyś zbrodnię... a było to naprawdę fantastyczna historia. I musiałem jej zaniechać w końcu, bo nie było środków do jej wyświeślenia.

Niemal wszystkie panie wykrzyknęły równocześnie, że głosy ich zlały się w jedno:

— O proszę nam to odpowiedzieć...

Pan Bermutier uśmiechnął się zlekka, a poważnie, jak uśmiechnąć się może tylko sędzia śledczy. Zaczął:

— Nie myślę panie przynajmniej, że ja mógłbym się dopatrywać w tej całej sprawie, choć przez chwilę jedną, czegoś nadludzkiego. Ja wierzę tylko w rzeczy naturalne. Byłoby wiele lepiej, gdybyśmy na określenie czegoś, czego nie rozumiemy, używali zamiast słowa „nadprzyrodzonego”, prostego słowa „niepojęty”. W każdym razie w sprawie, którą mam wam odpowiedzieć, to przede wszystkim okoliczności, które ją otaczają i wypadki, które ją poprzedziły, wstrząsnęły naszą głębi. Ale... nie uprzedzajmy wypadków.

— Byłem wtedy sędzią śledczym w Ajaccio, małym miasteczku, położonym na brzegu przepysznej zatoki, otoczonym zewsząd wysokimi górami.

To wszystko, co tam śledziłem, to wszystko były sprawy „vendetty”. A były między niemi niektóre naprawdę wspaniałe, wielce dramatyczne, heroiczne i zwierzęce zarazem. Spotykałem tam najpiękniejsze motywy zemsty, jakie można sobie wymarzyć, jakieś dziedziczne, odwieczne zawiści, niekiedy przytłumione, nigdy nie wygasłe, jakieś morderstwa wyrafinowane, uchodzące tam niemal za czyny pełne chwały. Od dwóch lat, nie słyszałem, jak tylko o „cenie krwi”, jak tylko o tym straszliwym przesądzie, który zmusza do zemsty za wszelkie krzywdy, na osobie, która je popełniła, na jej dzieciach, na jej potomstwie... Widziałem starych okrutnie pomordowanych, widziałem dzieci, widziałem ludzi w sile wieku... Mam pełną głowę tych okropności...

— O óż dowiedziałem się dnia pewnego, że Anglik jakiś wynajął na parę miesięcy niewielką willę na brzegu zatoki. Wraz z nim przybył służący Francuz, którego zabrał ze sobą z Marsylji.

— Wkrótce ten dziwny jegoś, żyjący jak odludek i nie wychodzący z domu, jak tylko na polowanie, stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania. Z nikim nie rozmawiał, do miasta nie zaglądał nigdy, z rana zaś ćwiczył się godzinę lub dwie w strzelaniu z pistoletu i z karabinu.

Dokoła jego postaci utworzyły się fantastyczne legendy. Niektórzy twierdzili, że to jakaś wybitna osobistość, zmuszona do ucieczki z ojczyzny z powodów politycznych, inni zaczęli, że ukrywa się on tutaj po spełnieniu jakiejś strasznej zbrodni. Na ucho cpowiadano sobie nawet jej szczegóły naprawdę wstrząsające.

Chciałem, jako sędzia śledczy, zasięgnąć o tym człowieku nieco wiadomości, lecz nie było mo-

żna niczego się o nim dowiedzieć. Nazywał się podobno John Rowell. Poprzestałem narazie na śledzeniu go z bliska, lecz nie udało mi się odkryć nic podejrzanego.

Tymczasem pogłoski o nim bynajmniej nie cichły, stawały się nawet coraz to głośniejsze, zafaczały coraz szersze kręgi. Postanowiłem tedy spróbować się spotkać osobiście z cudzoziemcem i odjazd krążyłem stale koło jego posiadłości.

Czekłem długo na pomyślną sposobność. Nadarzyła się w końcu dzięki kuropatwie, którą zestrzeliłem z przed nosa Anglikowi. Mój wyżeł zaaportował ją natychmiast. Chcąc usprawiedliwić się z mego postępowania ruszyłem do Anglika, prosząc, by raczył przyjąć nieprawnie zabitego ptaka.

Był to mężczyzna rośli, barczysty, o rudych włosach, rudej brodzie, prawdziwy herkules o usposobieniu łagodnym i ujmującym. Nie miał nic z przysłowiowej szorstkości angielskiej i podziękował mi natychmiast płynnie po francusku, z wybitnym akcentem anglosaskim. Nie minął jeszcze miesiąc, a już miałem sposobność z nim pięć czy sześć razy rozmawiać.

Pewnego wieczora, przechodząc koło jego willi, spojrzałem go w ogrodzie, gdzie zażywał zwykle wieczornego chodu. Po drowilem go uprzejmie, a on zaprosił mnie do siebie na szklanek piwa. Nie pozwoliłem sobie tego dwa razy powtórzyć.

Przyjął mnie z ową przesadną grzecznością angielską, rozmawiał o Francji rozplywając się nad nią w pochwałach, zachwycił się Karyką, jej pogodnym klimatem, pięknnością jej wybrzeży.

Postawiłem mu wtedy pod pozostawieniem żywego zainteresowania się rozmową ostrożnie parę pytań, odnoszących się do jego osoby i do jego planów na przyszłość. Odpowiedział bez najmniejszego zakłopotania, rozprawiając szeroko o swoich podróżach po Afryce, Indjach i Ameryce. Opowiadał o polowaniach na słonie, hipopotamy, goryle, dorzucając do znanych opisów naprawdę interesujące szczegóły.

— Wszystkie te zwierzęta są straszne — powiedziałem, gdy skończył.

Uśmiechnął się zlekka:

— Wiele niebezpieczniejszym zwierzęciem jest człowiek.

Zaczął się śmiać nagle owym szerokim, pełnym zadowolenia śmiechem wielkiego Anglika:

— Polowałem często także i na ludzi.

Rozpoczął rozmawiać o broni i poprosił mnie do swego pokoju, chcąc pokazać strzelby najrozmaitszych systemów.

Pokój jego, obity czarnym, haftowanym złotem jedwabiem, robił nieprzyjemne wrażenie. Wielkie, żółte kwiaty na ile czarnem, rzucały na pokój ponure refleksy.

Oto draperie japońskie — oznajmił krótko.

Spojrzałem mimowoli na jedną ze ścian pokoju. Niemile rzucił się w oczy kawałek czerwonego aksamitu, na którym w dzień jakiś przedmiot czarny. Przybliżyłem się: była to ręka ludzka. I to nie biała ręka kościotupa, ale jakaś czarna, zasuszona ręka, o żółtych pęknięciach, odarta ze skóry, ze śladami krwi zaskrzeszonej na sterzącej kości. Ogromny łach uchwały żelazny, tak silny, że możnaby na nim słonia trzymać na uwięzi, przytwierdzał ją do ścian.

— Co to jest — zapytałem zdumiony.

Anglik odpowiedział spokojnie:

— Ta ręka, to mój wróg najgorszy. Pocho dzi z Ameryki. Odcięta szabłą, odarta ze skóry kawałkiem ostrego kamienia, suszyła się w słońcu dni osiem. Bardzo miłe wspomnienie, oh yes.

Dotknąłem się tej potwornej ręki, która musiała należeć chyba do olbrzyma. Palce nieproporcjonalnie długie, połączane były olbrzymimi ścięgnami; gdzieś tam zwiisały z nich wielkie płaty skóry. Wstręt zbierał patrzeć na tę rękę, tak strasznie pokaleczoną. Mimowoli nasuwało się przypuszczenie, że w grę wchodzi tutaj jakaś straszna zemsta.

— Ten człowiek musiał być strasznie silny — powiedziałem.

— Oh, yes, ale ja byłem silniejszy od niego. Chwyciłem go na łańcuch i oto jest w mojej mocy.

Myślałem, że żartuje:

— Ten łańcuch jest już teraz niepotrzebny. Ręka nie ucieknie już nigdy.

Sir John Rowell odpowiedział poważnie:

— Zawsze chciała uciekać, łańcuch ten jest niezbędny.

Rzuciłem okiem na twarz jego, pragnąc odgadnąć:

— Zwarjował, czy żartuje sobie ze mnie.

Nie zmienił jednak wyrazu twarzy, jak zawsze spokojny i uśmiechnięty. Zwróciłem rozmowę

na inne tory: zacząłem podziwiać jego strzelby. Zauważyłem tymczasem tymczasem trzy rewolwery, leżące na stolikach, jakby człowiek ten żył w ustawicznej obawie napaści.

Odwiadam go jeszcze szereg razy. Później przestałem się nim zajmować. Przyzwyczajono się do jego obecności i nie zważano więcej na niego.

Upłynął rok tymczasem. Pewnego ranka, było to już pod koniec listopada, zbudził mnie służący, przynosząc sensacyjną wiadomość: sir John Rowell został zamordowany tej nocy.

W pół godziny później byłem już na miejscu zbrodni z komisarzem policji i kapitałem żandarmerji. Służący Rowella stał przed bramą, płacząc rozpaczony. Podejrzenia moje padły początkowo na tego człowieka; przekonałem się wkrótce, że był niewinny.

Sprawcy zbrodni nigdy nie wykryto.

Natychmiast po wejściu do pokoju sir Johna, spostrzegłem jego zwłoki, leżące na środku komnaty.

Kamizelka podarta na strzępy, rozdarty rękaw su duta — wszystko wskazywało na to, że rozegrała się tutaj jakaś straszna walka.

Anglik został zaduszony! Twarz jego czarna i nabrzmiała, wykrzywiła na strasznym kurczem trwogi, wyrażała śmiertelne przerażenie. W kurczowo zaciśniętych ustach trzymał jakiś przedmiot czarny. Na szyi widziałem pięć krwawych znaków, wyciśniętych jakby rozpalonym żelazem.

Nadszedł wreszcie lekarz sądowy. Długo badał ślady palców na szyi Rowella i z ust jego padły te dziwne słowa:

— Tego człowieka zadusił chyba kościotrup.

Zimny dreszcz przeszedł mi po kościach, spojrzalem mimowoli na ścianę, gdzie znajdowała się niegdyś owa dziwna ręka o potwornym wyglądzie: łańcuch zerwany zwiisał swobodnie — ręki ani śladu.

Pochyliłem się nad zmarłym i teraz dopiero zauważyłem, że w zaciśniętych zębach trzymał kawałek odgryzionego palca tej tajemniczej ręki.

Rozpoczęło się śledztwo. Nic nie wykryto. Drzwi i okna były nienaruszone, meble znajdowały się w porządku. Dwa psy nojne nie zbudziły się nawet tej nocy.

Relacje służącego brzmiały krótko.

Od miesiąca pan jego znajdował się w stanie wielkiego zdenerwowania. Otrzymywał wiele listów, które palił natychmiast.

Często w napadzie gniewu, graniczącego z szaleństwem, ćwiczył szpicrutą tą zeschniętą rękę, która, choć łańcuchem przytwierdzona do muru, znikła w chwili spełnienia zbrodni w tajemniczy sposób.

Spać chodził bardzo późno, zamykając starannie drzwi od sypialnego pokoju. Zawsze nosił przy sobie rewolwer. W nocy rozmawiał nieraz tak głośno, jakby z kimś kłótnię prowadził.

Ostatniej nocy zachowywał się nad podziw spokojnie i dopiero lokaj, przychodzący co rano wietrzyć pokój, znalazł trupa na podłodze. Podejrzeń rzucać nie chciał na nikogo.

Doniosłem władzom sądowym, co tylko wiedziałem w tej sprawie.

Dokładne śledztwo i poszukiwania zarządzane na całej wyspie, nie wydały żadnych rezultatów.

Pewnej nocy, w trzy miesiące po zbrodni, dręczył mnie sen okropny. Zdało mi się, że widzę ową potworną rękę, jak pełza po murze i po firankach, podbina do skorpiona lub krabam rskiego. Trzy razy się budziłem, trzy razy zasypiałem i ciągle widziałem we śnie rękę, krążącą po pokoju w jakimś łańcuchu zawrotnym.

Następnego dnia przyniesiono mi ją rzeczywiście do domu. Leżała podobno porzucona na grobie sir Rowella, którego pochowano na wyspie, nie mogąc odszukać jego rodziny.

I oto koniec historii. Wszystko co wiem o niej, opowiedziałem.

Panie przestraszone, blade, drżały ze wzruszenia. Jedna z nich zawołała:

— Prosimy o wytłumaczenie i rozwiązanie tej zagadki... Nie pójdziemy spać, póki pan swego osobistego zdania w tej sprawie nie wypowie.

Sędzia uśmiechnął się poważnie.

— Popsuję napewno cały efekt mego opowiadania. Zdaje mi się poprostu, że prawowity właściciel ręki nie umarł lecz przyszedł ją pomścić drugą swoją ręką, która mu pozostała. Sposób, w jaki to zdołał uczynić, pozostanie na zawsze tajemnicą. To także rodzaj „vendetty”.

Jedna z pań wyszeptowała:

— To musiało być chyba inaczej.

Sędzia zakończył z uśmiechem:

— Wiedziałem, że moje tłumaczenie nie trafi paniom do przekonania.

Tłumaczył Krz. B.